Indo-Pacyfik na krawędzi: między bębnami wojny a szumem fal w analizie Dennisa Hardy'ego

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje ewolucję pojęcia bezpieczeństwa w regionie Indo-Pacyfiku, wskazując, że współczesne zagrożenia wykraczają poza tradycyjne konflikty militarne. Autor, opierając się na analizach Dennisa Hardy'ego, wprowadza koncepcję „zagrożeń nietradycyjnych", do których należą kryzys klimatyczny, cyberataki, pandemie oraz degradacja oceanów. Szczególną uwagę poświęcono kruchości systemowej regionu – od tonących metropolii, takich jak Dżakarta, po znikające państwa wyspiarskie. Tekst podkreśla, że kwestie ekologiczne i bezpieczeństwo żywnościowe stają się kluczowymi determinantami stabilności politycznej. Zaniedbania w tych obszarach prowadzą do migracji klimatycznych i radykalizacji społecznej, co sprawia, że ochrona środowiska i zasobów naturalnych przestaje być kwestią drugorzędną, a staje się fundamentem nowoczesnej strategii geopolitycznej.

The article analyzes the evolution of the concept of security in the Indo-Pacific region, indicating that contemporary threats extend beyond traditional military conflicts. Drawing on the analyses of Dennis Hardy, the author introduces the concept of 'non-traditional threats,' which include the climate crisis, cyberattacks, pandemics, and ocean degradation. Particular attention is paid to the systemic fragility of the region—from sinking metropolises like Jakarta to disappearing island nations. The text emphasizes that ecological issues and food security are becoming key determinants of political stability. Neglect in these areas leads to climate migration and social radicalization, making environmental protection and natural resource management no longer a secondary issue, but the foundation of modern geopolitical strategy.

Artykuł stanowi krytyczną analizę bezpieczeństwa w regionie Indo-Pacyfiku, stawiając tezę, że tradycyjny paradygmat oparty na militaryzacji i rywalizacji mocarstw jest niewystarczający w obliczu współczesnych zagrożeń. Autor argumentuje, że prawdziwa stabilność regionu zależy od przejścia ku „realizmowi pokoju" – strategii, która uznaje kryzys klimatyczny, degradację oceanów (Błękitna Gospodarka) oraz zagrożenia nietradycyjne za kluczowe elementy bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego. Tekst analizuje systemową kruchość regionu, gdzie zjawiska takie jak podnoszenie się poziomu mórz czy cyberataki działają jako multiplikatory konfliktów, potęgując napięcia polityczne. Na przykładzie Tajwanu, rozumianego jako „brama Janusa", autor pokazuje tragiczny splot prestiżu mocarstw i lęków egzystencjalnych, ostrzegając przed paradoksem bezpieczeństwa: sytuacją, w której dążenie do ochrony poprzez zbrojenia generuje jedynie większy strach. Całość jest wezwaniem do przedefiniowania suwerenności z prawa do eksploatacji na obowiązek ochrony wspólnego dobra, jakim jest ocean i stabilność ludzka.

SŁOWA KLUCZOWE

zagrożenia nietradycyjne | Indo-Pacyfik | Błękitna Gospodarka | bezpieczeństwo ludzkie | realizm pokoju | multiplikatory konfliktów | kruchość systemowa | suwerenność wyspiarska | kolonializm zasobów | odporność państwa | bezpieczeństwo żywnościowe | cyberbezpieczeństwo w Indo-Pacyfiku | status quo Tajwanu | Rimland

Zagrożenia nietradycyjne jako nowa gramatyka bezpieczeństwa

Zagrożenia nietradycyjne: wojna bez wypowiedzenia wojny. Po omówieniu mocarstw, granic, wysp i religii należy przejść do warstwy, która może wydawać się mniej spektakularna, lecz bywa bardziej podstępna. Indo-Pacyfik nie jest zagrożony wyłącznie przez lotniskowce, rakiety, spory terytorialne czy nuklearne doktryny odstraszania. Zagrażają mu także zjawiska długo traktowane jako „miękkie", „rozwojowe", „środowiskowe" lub „humanitarne" – a więc w języku twardych strategów: drugorzędne. To błąd. W XXI wieku kryzys klimatyczny, migracje, cyberataki, przestępczość

transnarodowa, piractwo, nielegalne rybołówstwo, handel ludźmi, pandemie, niedobory żywności i degradacja oceanów nie są przypisami do bezpieczeństwa.

Są jego nową gramatyką. Hardy ujmuje te zjawiska jako non-traditional security threats – zagrożenia nietradycyjne. Sama nazwa jest nieco zdradliwa, gdyż sugeruje coś pobocznego wobec „prawdziwego" bezpieczeństwa militarnego. Tymczasem ich nietradycyjność nie wynika z mniejszej wagi, lecz z innego sposobu działania.

Armia przekracza granicę, cyberatak – system. Okręt blokuje cieśninę, pandemia – społeczeństwo. Bomba niszczy port, podnoszący się poziom morza czyni go bezużytecznym. Wojsko zajmuje terytorium, susza i głód wypychają z niego ludzi. Klasyczna wojna ma flagi i komunikaty; zagrożenia nietradycyjne często przychodzą bez sztandaru, ale z rachunkiem wyższym niż niejeden konflikt zbrojny. W Indo-Pacyfiku ta zmiana jest szczególnie widoczna, gdyż region ten stanowi jednocześnie ogromny organizm morski, demograficzny, logistyczny i klimatyczny. Skupia znaczną część ludności świata, obejmuje kluczowe szlaki handlowe i jest podatny na katastrofy naturalne; to kraina archipelagów, megamiast, delt rzecznych, nisko położonych wysp, obszarów sejsmicznych i stref gwałtownej urbanizacji. To nie tylko mapa rywalizacji mocarstw, lecz mapa kruchości systemowej. A kruchość ta ma tę właściwość, że nie pyta, czy konflikt pasuje do definicji z podręcznika wojskowości.

Po prostu uderza. Najbardziej oczywistym zagrożeniem nietradycyjnym jest zmiana klimatu. W Indo-Pacyfiku nie jest ona abstrakcją ani ideologicznym rekwizytem debaty publicznej, lecz realną siłą geopolityczną. Podnoszący się poziom mórz zagraża wyspom, rolnictwu deltowemu, portom, metropoliom i całym modelom państwowości. Malediwy są symbolem tego problemu, ale nie wyjątkiem. Państwa wyspiarskie Pacyfiku, wybrzeża Bangladeszu, delta Mekongu, nisko położone części Indonezji oraz infrastruktura portowa całego regionu stają przed pytaniem, które dawniej brzmiałoby absurdalnie: co oznacza suwerenność, jeśli ziemia, na której ją oparto, zaczyna znikać? Przykład Dżakarty, zmuszającej Indonezję do przeniesienia stolicy, ma znaczenie symboliczne. Stolica państwa nie tonie w metaforze. Tonie w sensie hydrologicznym, urbanistycznym i politycznym. Nadmierna eksploatacja wód gruntowych, osiadanie gruntu, wzrost poziomu morza, powodzie i chaos infrastrukturalny pokazują, że nowoczesne państwo może zostać pokonane nie przez wrogą armię, lecz przez własną niezdolność do zarządzania środowiskiem i urbanizacją.

To lekcja szersza niż przypadek Indonezji. Państwo lekceważące ekologię nie jest „pragmatyczne" – jest strategicznie krótkowzroczne. Natura nie prowadzi negocjacji budżetowych. Natura egzekwuje zaległości. Zmiany klimatyczne generują również presję migracyjną. Ludzie nie migrują dlatego, że ktoś w raporcie odnotował „ryzyko". Robią to, gdy nie mogą uprawiać ziemi, gdy woda staje się słona, gdy cyklon niszczy dom, ryby znikają z łowisk, a miasto przestaje dawać pracę. Migracja

klimatyczna rzadko przypomina pojedynczą apokaliptyczną falę; częściej jest procesem: rodzina wysyła jedną osobę, wieś pustoszeje, slumsy rosną, rynek pracy pęka, a napięcia etniczne i religijne się zaostrzają. Gdy administracja przestaje nadążać, radykałowie oferują prostsze odpowiedzi. Wtedy zjawisko środowiskowe staje się polityczne, a polityczne – bezpieczeństwowe.

Pojęcie bezpieczeństwa żywnościowego powinno wrócić do centrum myślenia strategicznego. Region Indo-Pacyfiku obejmuje państwa o ogromnych populacjach, których stabilność zależy od ryżu, ryb, wody i gleby. Zaburzenie któregoś z tych elementów prowadzi do wzrostu cen, protestów i radykalizacji. Żywność nie jest jedynie „sektorem gospodarki" – jest podstawą kontraktu społecznego.

Państwo może przetrwać kryzys prestiżu, lecz kryzys chleba i ryżu jest znacznie mniej wyrozumiały. Historia wielokrotnie pokazywała, że rewolucje często zaczynają się nie od manifestów filozoficznych, lecz od ceny podstawowego posiłku. Nielegalne, nieraportowane i nieuregulowane rybołówstwo jest tu zagrożeniem wyjątkowo niedocenianym. W języku technokratycznym brzmi jak problem administracji morskiej; w rzeczywistości niszczy podstawy egzystencji społeczności przybrzeżnych, wywołuje konflikty między państwami i finansuje przestępczość. Statek rabunkowy nie wygląda tak groźnie jak niszczyciel rakietowy, ale dla lokalnej społeczności może oznaczać głód i migrację. Jeśli dochodzi do tego ochrona takich jednostek przez struktury państwowe lub półpaństwowe, rybołówstwo staje się narzędziem presji geopolitycznej. Sieć rybacka może być wtedy mniej niewinna niż niejeden mundur. Z oceanem wiąże się również problem przestępczości transnarodowej: przemytu narkotyków, broni, ludzi i paliwa, a także piractwa. Indo-Pacyfik jest przestrzenią ogromnych przepływów, a każdy z nich tworzy cień nielegalnego obrotu. Tam, gdzie są porty, kontenery i słaba administracja przy wielkich różnicach dochodów, tam pojawiają się sieci przestępcze.

Nietradycyjne zagrożenia jako systemowa erozja bezpieczeństwa

Państwa często wolą postrzegać bezpieczeństwo przez pryzmat armii, gdyż daje ona prosty i czytelny obraz siły. Tymczasem przestępczość transnarodowa podgryza państwo od środka: korumpuje urzędy, finansuje bojówki, przejmuje logistykę, destabilizuje granice i tworzy alternatywne porządki lojalności. To wojna bez frontu i bez hymnu, ale z bardzo realnymi ofiarami. Handel ludźmi zasługuje na osobne podkreślenie; w regionie migracji, pracy kontraktowej i głębokich nierówności, przy jednoczesnym braku zabezpieczeń pracowniczych, staje się jednym z najbardziej brutalnych przejawów przemocy systemowej. Człowiek zmienia się w towar

przemieszczany przez granice, porty, agencje, statki, budowy, fabryki i gospodarstwa domowe. W retoryce gospodarczej mówi się czasem o „mobilności pracy", jakby człowiek był elegancką zmienną w modelu. W praktyce jednak mobilność pozbawiona praw może stać się współczesną odmianą poddaństwa. Indo-Pacyfik, z jego historią kolonialnej pracy przymusowej i kontraktowej, powinien być szczególnie wrażliwy na ten problem. Historia lubi wracać nie w tych samych mundurach, lecz w podobnych mechanizmach zależności.

Kolejną warstwą zagrożeń jest cyberbezpieczeństwo, choć określenie „nietradycyjne" zaczyna tu brzmieć anachronicznie. Cyberatak potrafi sparaliżować port, bank, szpital, elektrownię, system logistyczny, sieć wojskową, komunikację satelitarną czy administrację. W regionie uzależnionym od przepływów dane stały się częścią infrastruktury strategicznej. Kto kontroluje dane, ten kontroluje opóźnienia, zaufanie, decyzje i panikę. Wojna cybernetyczna jest szczególnie groźna, ponieważ rozmywa próg odpowiedzi. Czy atak na system portowy to już akt wojny? Czy kradzież danych wojskowych uzasadnia odwet? Czy sabotaż infrastruktury cywilnej w czasie pokoju jest przygotowaniem pola walki? Tradycyjne kategorie prawa i strategii ledwo nadążają za nowymi formami wrogości. Krajobraz ten dodatkowo komplikuje sztuczna inteligencja oraz systemy autonomiczne. Z jednej strony mogą one wspierać zarządzanie kryzysowe, monitorowanie klimatu, wykrywanie nielegalnego rybołówstwa czy optymalizację transportu. Z drugiej – przyspieszają decyzje wojskowe, wzmacniają dezinformację, automatyzują nadzór i zwiększają ryzyko eskalacji przez błąd algorytmiczny.

W polityce bezpieczeństwa szybkość nie zawsze jest zaletą. Czasem najcenniejszą funkcją człowieka w systemie jest opóźnienie – chwila wahania, rozmowa telefoniczna, pytanie o to, czy to na pewno atak. Automatyzując reakcję, automatyzujemy także możliwość pomyłki. A pomyłka w regionie nuklearnym nie jest błędem w arkuszu kalkulacyjnym.

Zagrożenia nietradycyjne jako multiplikatory konfliktów

To potencjalny koniec arkusza, biura i całego miasta. Pandemie stanowią kolejny dowód na to, że bezpieczeństwo nie mieści się już w koszarach. Region gęsto zaludniony, mobilny i handlowy, z wielkimi metropoliami, migracjami zarobkowymi oraz intensywnymi kontaktami transgranicznymi, jest szczególnie podatny na szybkie rozprzestrzenianie się chorób. Pandemia uderza jednak w coś więcej niż tylko zdrowie publiczne; uderza w zaufanie do państwa, łańcuchy dostaw, edukację, rynek pracy, finanse publiczne, zarządzanie granicami i politykę wewnętrzną. Może wzmacniać autorytaryzm pod pozorem skuteczności, ale potrafi też obnażyć nieudolność reżimów ukrywających dane.

Taka sytuacja często zwiększa wrogość wobec obcych, mniejszości i migrantów. Choroba biologiczna szybko staje się chorobą społeczną, jeśli państwo odpowiada na nią chaosem, kłamstwem albo przemocą. Z kolei katastrofy naturalne — trzęsienia ziemi, tsunami, cyklony, powodzie, osuwiska czy pożary — tworzą w Indo-Pacyfiku stały krajobraz ryzyka. Tsunami z 2004 roku pozostaje jednym z najtragiczniejszych przypomnień, że ocean nie jest tylko drogą handlu i teatrem flot, lecz żywiołem wymagającym wspólnego systemu ostrzegania, koordynacji i pomocy. Katastrofa naturalna odsłania jakość państwa szybciej niż niejeden audyt. Pokazuje, czy administracja faktycznie działa, czy korupcja zjadła procedury, czy wojsko potrafi skutecznie pomagać, czy sąsiedzi współpracują, czy informacja dociera do obywateli i czy najbiedniejsi nie zostają pozostawieni samym sobie. W godzinie próby państwo nie może udawać zdolności. Albo je posiada, albo nie.

Zagrożenia nietradycyjne mają jedną wspólną cechę: są multiplikatorami konfliktu. Rzadko wywołują wojnę wprost, lecz drastycznie wzmacniają istniejące napięcia. Susza pogarsza konflikt o zasoby, migracja zwiększa tarcia społeczne, cyberatak podnosi nieufność między państwami, a nielegalne rybołówstwo zaostrza spory morskie. Przestępczość transnarodowa z kolei korumpuje instytucje.

Pandemia radykalizuje debatę, a katastrofa naturalna obnaża nierówności. Każdy z tych czynników działa jak podmuch na żar, który już tli się pod popiołem historii. Jeśli państwa regionu będą traktować te zjawiska osobno, przegrają w starciu z ich kumulacją.

Bezpieczeństwo Indo-Pacyfiku wymaga zatem pojęcia odporności. Odporność nie oznacza braku zagrożeń, lecz zdolność społeczeństw i instytucji do ich absorbowania bez ryzyka rozpadu. Państwo odporne potrafi utrzymać dostawy żywności, chronić infrastrukturę, reagować na katastrofy, zarządzać migracją, przeciwdziałać dezinformacji, ścigać przestępczość oraz budować zaufanie i współpracę z sąsiadami. Państwo nieodporne może dysponować armią, organizować defilady i śpiewać hymny, a mimo to rozsypać się po kilku tygodniach powodzi, pandemii lub cyberchaosu. To brutalna lekcja XXI wieku: czołgi nie wypompują wody z zalanego miasta, a rakiety nie przywrócą zaufania do administracji.

Tradycyjna rywalizacja mocarstw wokół Indo-Pacyfiku jest zatem niewystarczająca jako rama analizy. USA, Chiny, Indie i Japonia mogą budować floty, ale żadna flota nie zatrzyma ocieplenia oceanów. Mogą tworzyć sojusze wojskowe, lecz żaden sojusz nie zastąpi sprawnej gospodarki wodnej. Mogą zabezpieczać cieśniny, ale jeśli rybołówstwo zostanie zniszczone, społeczności przybrzeżne i tak staną się źródłem niestabilności. Mogą rozwijać ofensywne cyberzdolności, lecz bez wspólnych standardów ochrony infrastruktury krytycznej cały region pozostanie podatny na

sabotaż. Siła militarna jest konieczna w świecie przemocy, lecz niewystarczająca w świecie współzależności. Kto widzi tylko armię, ten widzi tylko część pola bitwy.

Nietradycyjne zagrożenia mają również wymiar moralny. Najmocniej dotykają tych, którzy najmniej przyczynili się do ich powstania i mają najmniejsze możliwości obrony: społeczności wyspiarskie, rybaków, migrantów, biedotę miejską, pracowników nieformalnych, kobiety, dzieci, mniejszości oraz mieszkańców peryferii.

Bezpieczeństwo ludzkie i Błękitna Gospodarka jako fundamenty stabilności regionu

Gdy wielkie mocarstwa mówią o bezpieczeństwie, zwykle mają na myśli bezpieczeństwo państw. Perspektywa Hardy'ego zmusza jednak do pytania o bezpieczeństwo ludzi. Pokój niewiele znaczy dla człowieka, który nie ma wody, pracy ani domu; dla kogoś pozbawionego ochrony przed gangiem, prawa do skargi czy pewności, że jego wyspa przetrwa kolejne pokolenie. Bezpieczeństwo ludzkie nie jest sentymentalnym dodatkiem – jest fundamentem stabilności państwowej.

Widać, jak silnie zagrożenia nietradycyjne splatają się z kolonialnym dziedzictwem. Wiele państw regionu odziedziczyło granice, struktury gospodarcze i modele eksploatacji zaprojektowane pod interesy metropolii, a nie lokalną odporność. Porty budowano dla eksportu surowców, plantacje dla zysku imperiów, a administrację dla kontroli, zamiast dla partycypacyjnego zarządzania kryzysami. Po dekolonizacji wiele krajów musiało budować swoje zdolności w warunkach zależności finansowej, presji demograficznej i głębokich nierówności. Gdy dziś wymaga się od nich „lepszego zarządzania" klimatem, oceanami czy migracją, należy pamiętać, że globalny rachunek historyczny nie został wystawiony wszystkim po równo. Oczywiście zła historia nie usprawiedliwia złej administracji, lecz rzetelna analiza nie może udawać, że wszyscy startowali z tego samego brzegu.

Nietradycyjne zagrożenia obnażają również słabość instytucji międzynarodowych. ONZ, organizacje regionalne, konwencje morskie czy porozumienia klimatyczne tworzą język współpracy, lecz często brakuje im egzekucji, finansowania i politycznej woli państw. Świat ma imponującą zdolność produkowania dokumentów i znacznie słabszą zdolność produkowania działań. Papier zniesie wszystko, ocean nie.

Deklaracja klimatyczna nie zatrzyma cyklonu, jeśli nie stoją za nią inwestycje, technologia i sprawiedliwe finansowanie. Konwencja przeciw handlowi ludźmi nie pomoże ofierze, gdy lokalna policja jest skorumpowana, sąd powolny, a pracodawca powiązany z politykiem.

Odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?” brzmi zatem: pokój w Indo-Pacyfiku zostanie przegrany nie tylko wtedy, gdy wybuchnie konflikt między mocarstwami, ale także wtedy, gdy państwa ulegną kryzysom, których nie uznały za strategiczne. Wojna może nadejść w mundurze, lecz chaos przychodzi w wodzie, wirusie, kodzie, głodzie, migracji, korupcji i pustych sieciach rybackich. Werbel wojny zagłusza te sygnały, bo jest głośny i teatralny. Szum fal jest cichszy, ale niesie wiadomość bardziej podstawową: ocean, klimat, żywność i ludzkie bezpieczeństwo są warunkami każdej strategii. Bez nich mocarstwowe plany stają się ćwiczeniem z geopolityki na tonącym pokładzie.

W tym kontekście Błękitna Gospodarka jawi się nie jako modny slogan z raportów o zrównoważonym rozwoju, lecz jako jeden z najważniejszych testów cywilizacyjnych Indo-Pacyfiku. Ocean może być wspólnym dobrem, źródłem życia i stabilności, ale może też zostać potraktowany jako ostatni wielki magazyn surowców – przestrzeń rabunkowego rybołówstwa, górnictwa głębinowego i ekologicznej ślepoty.

Wybór między tymi modelami jest mniej efektowny niż pytanie o wojnę lotniskowców, lecz być może ważniejszy. Zanim państwa zaczną strzelać do siebie na morzu, mogą wspólnie zabić samo morze.

Analiza zagrożeń prowadzi nas w samo serce Indo-Pacyfiku: w ocean. Nie jako tło mapy czy błękitną pustkę między państwami, lecz jako materialny fundament życia, handlu, klimatu i bezpieczeństwa. W tym regionie morze nie jest dodatkiem do geopolityki – morze jest geopolityką. To przez nie płyną towary, ropa, dane, wojska, uchodźcy i epidemie. Kto nie rozumie oceanu, nie rozumie regionu. Kto widzi tylko floty, a nie ekosystemy, dostrzega zaledwie stalową pianę na powierzchni głębszego problemu.

Pojęcie Błękitnej Gospodarki (Blue Economy) brzmi początkowo łagodnie, niemal promocyjnie. Można by podejrzewać kolejny slogan z konferencji, gdzie deklaracje o zrównoważeniu maskują stare modele eksploatacji. Jednak w ujęciu poważnym Błękitna Gospodarka nie jest ozdobą języka rozwojowego, lecz próbą odpowiedzi na pytanie, czy ocean może pozostać źródłem dobrobytu bez przekształcania go w jego ofiarę. Oznacza to gospodarowanie zasobami tak, by łączyć rozwój z ochroną ekosystemów i prawami społeczności przybrzeżnych. Jej sensem nie jest zaprzestanie korzystania z morza, lecz zaprzestanie traktowania go jak spadkobierca, który sprzedaje dom przodków na części i nazywa to strategią inwestycyjną.

W źródłach Błękitna Gospodarka zostaje przeciwstawiona agresywnej eksploatacji. Choć państwa dbające o zrównoważony rozwój zyskują szacunek, praktyka mocarstw często idzie w przeciwnym kierunku: morze staje się polem rywalizacji o wyłączne strefy ekonomiczne i obszarem górnictwa

głębinowego. To napięcie jest kluczowe: ocean może być wspólnym dobrem albo wspólnym polem grabieży.

Błękitna Gospodarka jako tarcza przed kolonializmem zasobów

Trzeciej drogi nie ma, choć biurokracja międzynarodowa potrafi wymyślić dla niej pięć akronimów i trzy raporty okresowe. Błękitna Gospodarka ma szczególne znaczenie właśnie w Indo-Pacyfiku, ponieważ wiele państw tego regionu jest morskimi nie tylko z położenia, ale z samej struktury życia. Indonezja, Filipiny, Japonia, Malediwy, Sri Lanka, Mauritius, Seszele, państwa wyspiarskie Pacyfiku, Australia, Singapur czy Wietnam są związane z morzem jako przestrzenią żywności, pracy, tożsamości, komunikacji i bezpieczeństwa.

W takich miejscach degradacja oceanu nie jest problemem ekologów szukających tematów do seminariów. To uderzenie w rybaków, porty, turystykę, ceny żywności, dochody rodzin, migracje i stabilność polityczną. Jeżeli morze choruje, państwo dostaje gorączki. Najbardziej oczywistym wymiarem Błękitnej Gospodarki jest rybołówstwo. Ryby stanowią źródło białka, dochodu, tradycji i bezpieczeństwa żywnościowego dla setek milionów ludzi. Rabunkowe połowy niszczą więc nie tylko ekosystemy, lecz także kontrakt społeczny społeczności przybrzeżnych. Gdy wielkie flotylle przemysłowe wypierają lokalnych rybaków, nie mamy do czynienia wyłącznie z konkurencją gospodarczą, lecz z transferem wartości od biedniejszych i bardziej zależnych społeczności ku silniejszym aktorom, często chronionym politycznie.

To jest cichy kolonializm morza: bez gubernatora, bez flagi na pałacu i bez deklaracji o misji cywilizacyjnej, ale z tym samym rdzeniem – silniejszy zabiera zasób słabszemu, a potem tłumaczy, że tak zdecydował rynek. Nielegalne rybołówstwo staje się również narzędziem geopolitycznym. Statki rybackie mogą pełnić funkcję cywilnej zasłony obecności państwowej. Milicje morskie, wspierane lub tolerowane przez rządy, mogą naciskać na sąsiadów, testować ich reakcje i utrwalać roszczenia, tworząc fakty dokonane bez formalnego użycia marynarki wojennej.

Taka strategia jest szczególnie wygodna, ponieważ rozmywa odpowiedzialność. Jeśli przeciwnik odpowie stanowczo, można oskarżyć go o agresję wobec „zwykłych rybaków”. Jeśli nie zareaguje – obecność się utrwala. W ten sposób rybołówstwo przestaje być gospodarką, a staje się dyplomacją w gumowych butach. Jak to często bywa w geopolityce, najgorzej wychodzą na tym prawdziwi rybacy, którzy nie są pionkami państwowej operacji, lecz ludźmi próbującymi utrzymać rodzinę.

Drugim wielkim obszarem jest górnictwo głębinowe. Dno oceanu przestało być w wyobraźni mocarstw tajemniczą przestrzenią biologiczną, a stało się magazynem kobaltu, niklu, manganu, litu, tytanu i metali ziem rzadkich, niezbędnych dla nowych technologii. Zielona transformacja, cyfryzacja, baterie, elektronika czy systemy wojskowe zwiększają popyt na minerały krytyczne. Paradoks polega na tym, że gospodarka mająca ratować klimat może zacząć niszczyć najdelikatniejsze ekosystemy, jeśli będzie realizowana według starej logiki wydobywczej: znajdź zasób, wydobądź go i sprzedaj, zostawiając rachunek przyszłym pokoleniom. To nie transformacja, lecz recykling kolonialnej mentalności w ekologicznej koszulce.

Górnictwo głębinowe jest szczególnie niebezpieczne, gdyż dotyka ekosystemów słabo poznanych. Głębia oceaniczna nie jest pustką; to świat życia rozwijającego się przez miliony lat, często w warunkach, których nauka dopiero zaczyna rozumieć. Maszyny wydobywcze mogą niszczyć siedliska, wzburzać osady i zaburzać łańcuchy pokarmowe gatunków, których jeszcze nie opisaliśmy. Jest w tym coś niemal groteskowo ludzkiego: chcemy wydobywać bogactwa z miejsc, których nie rozumiemy, by produkować technologie, którymi będziemy później monitorować szkody, których wcześniej nie chcieliśmy przewidzieć. Człowiek bywa jedynym gatunkiem, który podpala bibliotekę, żeby zrobić miejsce na centrum danych o historii pożarnictwa.

Koncepcja Błękitnej Gospodarki wymaga radykalnej ostrożności. Nie oznacza zakazu rozwoju morskiego, lecz nakazuje pytanie o próg nieodwracalności. Nie każde bogactwo powinno zostać wydobyte tylko dlatego, że technicznie jest to możliwe. Nie każde przyspieszenie technologiczne jest postępem, jeśli jego koszt zostaje ukryty w oceanicznej ciemności. W polityce surowcowej niezbędna jest zasada przezorności, bo szkody na dnie morza mogą okazać się nie tylko rozległe, ale i praktycznie niemożliwe do naprawienia. Gdy zniszczymy las, możemy wyobrazić sobie jego odtworzenie. Gdy zniszczymy ekosystem głębinowy, możemy nawet nie wiedzieć, co dokładnie straciliśmy.

Błękitna Gospodarka jako systemowa alternatywa dla militaryzacji oceanów

Trzecim problemem są wyłączne strefy ekonomiczne (EEZ). Prawo morza przyznaje państwom szerokie uprawnienia do korzystania z zasobów morskich w pasie do 200 mil morskich od wybrzeża. W teorii ma to porządkować prawa i odpowiedzialność; w praktyce bywa źródłem sporów, a niekiedy zachętą do rabunkowego gospodarowania we własnych strefach. Hardy zwraca uwagę na paradoks: największe zniszczenia nie zawsze dotykają otwartego oceanu, lecz właśnie

obszarów objętych jurysdykcją państw, które powinny być ich strażnikami. To gorzka lekcja o suwerenności.

Sama kontrola narodowa nie gwarantuje troski. Państwo może być opiekunem zasobu, ale może też być jego pierwszym drapieżnikiem. EEZ mają również ogromne znaczenie strategiczne, gdyż wyspy, rafy i atole stają się fundamentem roszczeń do rozległych obszarów morskich. To wyjaśnia zaciekłość sporów o niewielkie fragmenty lądu.

Nie chodzi tu o plażę, lecz o promień wpływu. Nie o skałę, lecz o wodę, dno, ryby, kable, minerały i obecność wojskową. Prawo morza, które miało uporządkować przestrzeń, niekiedy wzmacnia pokusę geopolitycznego maksymalizmu. Państwa zaczynają traktować każdy skrawek wystający ponad wodę jak klucz do sejfu. A kiedy geografia staje się sejfem, wszyscy szukają pretekstu, by dorobić sobie klucz.

Błękitna Gospodarka musi zatem łączyć prawo, ekologię, ekonomię i bezpieczeństwo. Nie można jej sprowadzić wyłącznie do ochrony środowiska, bo ocean jest także infrastrukturą handlu i życia. Nie można jej ograniczyć do wzrostu gospodarczego, gdyż wzrost bez granic niszczy podstawy własnej kontynuacji. Nie da się jej zredukować do bezpieczeństwa militarnego, ponieważ flota nie zastąpi zrównoważonych połowów, czystej wody i stabilnych społeczności. Potrzebna jest perspektywa systemowa: morze jako dobro wspólne, zarządzane jednak przez konkretne instytucje, państwa, regiony i społeczności. „Dobro wspólne" bez instytucji bywa pobożnym życzeniem; instytucje pozbawione idei dobra wspólnego stają się aparatem eksploatacji.

Turystyka morska i przybrzeżna jest kolejnym obszarem ambiwalencji. Dla wielu państw wyspiarskich stanowi źródło dochodu, miejsc pracy i kontaktu ze światem. Może wspierać ochronę przyrody, o ile opiera się na wysokich standardach środowiskowych, lokalnej własności i ograniczaniu presji infrastrukturalnej. Może jednak niszczyć to, co sprzedaje: rafy koralowe, czyste plaże, lokalne kultury, zasoby wody, krajobraz i spójność społeczną. Turysta przybywa po raj, lecz raj podłączony do kanalizacji, lotniska, importowanej żywności, klimatyzacji i prywatnych resortów zaczyna przypominać scenografię luksusu postawioną na cudzym deficycie. W Indo-Pacyfiku turystyka będzie błogosławieństwem tylko wtedy, gdy nie zamieni wysp w zaplecze obsługi dla globalnej klasy wypoczynkowej.

Energia morska i zielona transformacja tworzą następne pole możliwości i ryzyk. Wiatr morski, energia fal i pływów, wodór, niskoemisyjna żegluga, elektryfikacja portów oraz paliwa alternatywne mogą stać się filarami odpornej gospodarki regionu. Pojawia się jednak pytanie o własność, technologię, finansowanie i nierówności. Kto będzie właścicielem infrastruktury? Kto dostarczy technologię? Kto poniesie koszty? Czy państwa wyspiarskie i rozwijające się będą podmiotami

transformacji, czy jedynie miejscami instalacji cudzych projektów? Zielona gospodarka może być emancypacyjna, ale może też stworzyć nową zależność technologiczną. Kolonializm nie musi wracać w kolorze khaki. Może wrócić w kolorze zielonym, z eleganckim logo i słowem „sustainable" na pierwszym slajdzie.

Żegluga jest krwioobiegiem Indo-Pacyfiku. Dekarbonizacja transportu morskiego, bezpieczeństwo portów, standardy paliwowe, odporność łańcuchów dostaw i ochrona przed zakłóceniami to elementy Błękitnej Gospodarki, choć często trafiają do oddzielnych raportów. Tymczasem statek handlowy, port i ekosystem morski stanowią jedną całość. Jeśli żegluga zanieczyszcza – ocean traci. Jeśli porty są nieodporne na powodzie – handel traci. Jeśli szlaki są militaryzowane – rosną ubezpieczenia i ceny. Jeśli cieśniny są zagrożone, gospodarka globalna szuka objazdów, co zwiększa koszty i emisje. Błękitna Gospodarka nie jest więc romantycznym projektem ochrony fal, lecz rachunkiem realnych zależności.

W tej perspektywie Morze Południowochińskie staje się nie tylko punktem sporu terytorialnego, ale symbolem konfliktu między Błękitną Gospodarką a błękitną militaryzacją. Sztuczne wyspy, bazy, presja na rybaków, konflikt roszczeń, eksploatacja zasobów i ignorowanie delikatności raf pokazują, jak szybko przestrzeń morska może zostać przerobiona w system dominacji. Morze Południowochińskie jest laboratorium przyszłości: albo państwa nauczą się zarządzać wspólnymi zasobami mimo sprzecznych interesów, albo udowodnią, że ocean stanie się kolejną wersją kolonialnego pogranicza, gdzie obowiązuje zasada: kto szybciej zabetonuje rafę, ten pisze historię.

Ocean Indyjski przedstawia podobny problem w innej formie. Rywalizacja Chin i Indii, obecność USA, znaczenie Diego Garcia, porty w Afryce Wschodniej, Morze Czerwone, Kanał Sueski, cieśnina Malakka, Bab al-Mandab, Zatoka Perska i archipelagi środkowego oceanu tworzą układ, w którym Błękitna Gospodarka stale styka się z twardym bezpieczeństwem. Państwo wyspiarskie może pragnąć rozwoju turystyki i ochrony raf, lecz wielkie mocarstwo widzi w nim bazę. Lokalna społeczność może chcieć dostępu do tradycyjnych łowisk, ale flota przemysłowa widzi tam zasób. Naukowiec ostrzega przed górnictwem głębinowym, podczas gdy przemysł widzi niedobór metali krytycznych. Każdy patrzy na ten sam ocean i widzi inny przedmiot.

Błękitna Gospodarka jako dojrzała forma geopolityki

Istotą polityki jest pytanie, czy uda się stworzyć język wspólnej odpowiedzialności silniejszy niż suma partykularnych apetytów. Błękitna Gospodarka wymaga bowiem odpowiedzi na pytanie o sprawiedliwość. Państwa rozwijające się mają prawo do rozwoju, a społeczności przybrzeżne do pracy. Świat potrzebuje transformacji energetycznej, lecz przyszłe pokolenia mają prawo do

oceanu, który nie zostanie zdewastowany przez pośpiech obecnych. Sprawiedliwość nie polega na prostym zakazie korzystania z zasobów – taki opór najłatwiej zgłaszają ci, którzy wzbogacili się na wcześniejszej eksploatacji. Prawdziwa sprawiedliwość to taki podział kosztów, technologii i finansowania ochrony, aby państwa słabsze nie musiały wybierać między biedą a zniszczeniem własnego środowiska. To zadanie trudne, ale właśnie po to istnieje polityka. Gdyby wszystkie wybory były oczywiste, wystarczyłby arkusz kalkulacyjny i sprawny algorytm.

Największym przeciwnikiem Błękitnej Gospodarki jest krótkoterminowość. Kadencje polityczne są krótkie, cykle inwestycyjne agresywne, popyt na surowce natychmiastowy, a presja społeczna silna. Ekosystemy reagują wolniej, choć ostatecznie czynią to bezlitośnie. Polityk pragnie efektu przed wyborami, korporacja zysku przed raportem kwartalnym, a państwo przewagi nad rywalem. Ocean nie mieści się w żadnym z tych kalendarzy; jego czas jest dłuższy. Przegrywa więc w instytucjach projektowanych przez ludzi, którzy mylą to, co pilne, z tym, co ważne.

Błękitna Gospodarka wymaga zmiany horyzontu: przejścia od logiki wydobycia do logiki trwania, od eksploatacji do opieki, od suwerenności rozumianej jako prawo do brania, ku suwerenności jako obowiązkowi ochrony. To prowadzi do pytania o instytucje. Kto ma strzec oceanu? Państwa, organizacje regionalne, ONZ, trybunały, społeczności lokalne, naukowcy czy rynek? Odpowiedź brzmi: nikt osobno nie wystarczy. Państwa są niezbędne ze względu na jurysdykcję i środki przymusu. Organizacje międzynarodowe – ponieważ ocean przekracza granice. Nauka jest konieczna, by polityka nie stała się hazardem, a społeczności lokalne, bo to one znają realne skutki decyzji.

Rynek może być użyteczny, o ile zostanie ujęty w ramy reguł; pozostawiony sam sobie będzie monetyzował nawet własny grób, byle wynik finansowy zgadzał się do końca kwartału. Potrzebna jest architektura wielopoziomowa, a nie kolejna deklaracja z piękną fotografią żółwia morskiego. W praktyce oznacza to monitoring połowów, ściganie nielegalnych flot, ograniczenie destrukcyjnych subsydiów i przejrzystość łańcuchów dostaw ryb. To także ochrona raf i mangrowców, tworzenie morskich obszarów chronionych, rzetelna ocena oddziaływania górnictwa głębinowego oraz moratoria tam, gdzie wiedza jest niewystarczająca. Do tego dochodzą inwestycje w odporność wybrzeży, standardy portowe, dekarbonizacja żeglugi, prawa pracowników na morzu, ochrona migrantów i mechanizmy rozwiązywania sporów o EEZ. Brzmi to technicznie, ale pokój często tak brzmi. Wojna ma werble, flagi i przemówienia; pokój ma procedury, inspekcje, budżety, czujniki i nudne spotkania, które ratują życie właśnie dlatego, że są nudne.

Błękitna Gospodarka jest najbardziej praktycznym wymiarem pytania Hardy'ego: wojna czy pokój? Jeśli ocean zostanie potraktowany jako pole rywalizacji o zasoby, konflikt stanie się nieunikniony. Jeśli zaś uznamy go za wspólną infrastrukturę życia, pokój zyska materialną podstawę. Nie

wystarczy jednak mówić o „wspólnym dziedzictwie ludzkości”, gdy państwa i korporacje ustawiają się w kolejce do wydobycia i zmilitaryzowania obszarów morskich. Wspólne dziedzictwo bez wspólnej dyscypliny jest tylko sentymentalnym napisem na bramie kopalni.

Metafora „szumu fal” Hardy'ego nabiera tutaj pełnego znaczenia. Szum ten nie jest jedynie przeciwieństwem dobosza wojny, lecz przypomnieniem, że ocean istniał przed ludzkimi granicami. Zanim państwa wykreśliły strefy ekonomiczne, ryby migrowały bez paszportów. Zanim mocarstwa zbudowały bazy, rafy rosły w czasie geologicznym. Zanim inwestorzy odkryli metale głębinowe, dno morza było żywym archiwum planety. Polityka, która tego nie rozumie, jest nie tylko niemoralna, ale i strategicznie błędna. Nie ma potęgi na martwym oceanie – istnieje jedynie krótkotrwała przewaga na tle długofalowej degradacji. Pokój w Indo-Pacyfiku zależy więc od tego, czy ocean zostanie uznany za dobro wspólne o znaczeniu strategicznym, a nie za ostatnią otwartą granicę rabunku. Błękitna Gospodarka nie jest miękką alternatywą wobec geopolityki; jest jej dojrzałą formą.

Państwo, które chroni morze, zabezpiecza żywność, handel, klimat i przyszłe pokolenia. Państwo, które je niszczy, może chwilowo zwiększyć PKB, ale w istocie podcina własny pomost do przyszłości. To różnica między strategiem a grabieżcą. Strateg myśli o trwaniu, grabieżca o łupie. Historia bywa dla tych pierwszych łaskawsza.

Paradoks bezpieczeństwa i pułapka prestiżu w Indo-Pacyfiku

Czas domknąć łuk i wrócić do pytania zasadniczego: czy świat rzeczywiście stoi na progu wojny, czy wciąż dysponuje zasobami pokoju? Należy zestawić argumenty dobosza wojny z argumentami szumu fal – realizm z nadzieją, odstraszanie z demilitaryzacją, mocarstwową paranoję z możliwością mediacji. Dopiero wtedy można zapytać, czy Indo-Pacyfik jest zapowiedzią katastrofy, czy ostatnią wielką lekcją odpowiedzialności przed epoką, w której ludzkość będzie musiała wreszcie dorosnąć do własnej siły. Wojna czy pokój: dobosz siły, szum fal i ostatnia szansa rozumu strategicznego.

Po przeanalizowaniu koncepcji Indo-Pacyfiku, Heartlandu i Rimlandu, osi sporów, roli mocarstw regionalnych, religii, zagrożeń nietradycyjnych oraz Błękitnej Gospodarki, musimy powrócić do punktu wyjścia: wojna czy pokój? To nie jest pytanie publicystyczne, choć dobrze brzmi w tytule. Nie jest też pytaniem moralistycznym, mimo że dotyka rdzenia odpowiedzialności. Jest to pytanie diagnostyczne.

Bada ono, czy współczesny porządek międzynarodowy posiada jeszcze zdolność samokorekty, czy raczej wkroczył w fazę, w której państwa widząc nadchodzącą katastrofę, oczekują, że to inni pierwsi zdejmą nogę z pedału gazu. Hardy stawia Indo-Pacyfik „na krawędzi" nie po to, by uwodzić czytelnika katastrofizmem. Katastrofizm jest tani; wystarczy ogłosić koniec świata i poczekać na efektowne nagłówki. Hardy'ego interesuje coś poważniejszego: stan systemu, w którym argumenty za wojną i pokojem współistnieją, lecz nie mają tej samej siły retorycznej, finansowej ani instytucjonalnej. Wojna jest głośna – ma defilady, budżety, przemysł, mundury, doktryny i język prestiżu. Pokój jest cichy – opiera się na mediacjach, kompromisach, nudnych spotkaniach, wspólnych komisjach i mozolnej pracy naprawczej. Wojna wygląda jak siła; pokój przypomina administrację.

Właśnie dlatego cywilizacje tak często wybierają spektakl, by później dziwić się ruinom. Argumenty wskazujące na ryzyko konfliktu są silne, ponieważ wynikają z kumulacji czynników. Indo-Pacyfik skupia punkty zapalne: mocarstwa nuklearne, spory graniczne, militaryzację wysp, ambicje Chin i niepewność USA, rosnącą rolę Indii, remilitaryzację Japonii oraz nieprzewidywalność Korei Północnej. Do tego dochodzą napięcia religijne, presja klimatyczna, przestępczość transnarodowa i walka o surowce. Niebezpieczeństwo nie tkwi w pojedynczej eksplozji, lecz w tym, że te elementy wzajemnie się potęgują. Kryzys wokół Tajwanu może rzutować na Japonię, USA, rynek półprzewodników i kalkulacje Pjongjangu. Starcie indyjsko-chińskie w Himalajach rezonuje z sytuacją w Pakistanie i Oceanie Indyjskim. Blokada cieśniny zmienia ceny energii, co z kolei wpływa na politykę wewnętrzną państw oddalonych o tysiące kilometrów.

W świecie sieciowym iskra nie pyta o lokalność. Najgroźniejszym mechanizmem nie jest jednak liczba konfliktów, lecz paranoja siły. Hardy trafnie podważa maksymę Si vis pacem, para bellum. W umiarkowanej wersji ma ona sens: bezbronność zaprasza agresora, a odstraszanie może zapobiegać przemocy. Problem pojawia się, gdy przygotowanie do obrony staje się uzależnieniem od wzrostu siły, który z kolei generuje większy lęk. Państwa zbroją się, bo się boją, a potem boją się jeszcze bardziej, widząc reakcję innych. Każdy twierdzi, że działa defensywnie, ale suma defensyw tworzy ofensywny krajobraz psychologiczny. To klasyczny paradoks bezpieczeństwa: im więcej środków ochrony, tym mniej poczucia bezpieczeństwa.

W Indo-Pacyfiku ten paradoks jest szczególnie groźny ze względu na skalę mocarstw i ich narracje prestiżowe. Chiny nie chcą być postrzegane jako siła powstrzymywana; USA nie chcą wyglądać jak hegemon w odwrocie. Indie nie chcą być okrążone, Japonia nie chce pozostać bezbronna wobec autorytarnych sąsiadów, ASEAN nie chce być biernym tłem cudzej gry, a Tajwan nie chce zostać unieważniony. Każdy broni twarzy. A twarz w polityce międzynarodowej bywa bardziej wybuchowa

niż terytorium – ziemię można podzielić, wydzierżawić lub zdemilitaryzować. Twarz znacznie trudniej oddać w komis.

Koniec naiwności i erozja ładu międzynarodowego

Drugim argumentem za wojną jest erozja dawnego porządku. Po zimnej wojnie wielu zachodnich analityków uwierzyło, że świat wkroczył w epokę zarządzanej globalizacji. Handel miał łagodzić konflikty, instytucje rozwiązywać spory, demokracja się rozszerzać, a technologia tworzyć wspólną przestrzeń racjonalności. Dziś ten optymizm wygląda jak list miłosny napisany do świata, który nigdy nie obiecał wierności.

Handel nie zlikwidował rywalizacji – uczynił ją jedynie bardziej złożoną. Instytucje nie zniknęły, lecz okazały się bezsilne wobec mocarstw gotowych łamać reguły. Technologia zamiast jednej, racjonalnej opinii publicznej, przyniosła systemy dezinformacji, nadzoru i polaryzacji. Globalizacja nie umarła, ale straciła niewinność. Indo-Pacyfik stał się regionem po końcu naiwności. Państwa nie pytają już tylko o to, gdzie produkować taniej, lecz gdzie robić to bezpieczniej. Nie zastanawiają się jedynie nad pogłębianiem współzależności, ale nad tym, jak się przed nią zabezpieczyć. Pytanie o partnera handlowego zostało zastąpione pytaniem o to, kto jutro może użyć handlu jako broni. Łańcuch dostaw stał się łańcuchem zależności, a zależność – potencjalnym instrumentem przymusu.

Nie oznacza to, że deglobalizacja jest prostą odpowiedzią. Świadczy raczej o przejściu od globalizacji ufnej do tej warunkowej: podejrzliwej, segmentowanej i zabezpieczanej militarnie. Dobosz wojny lubi taką muzykę; każdy magazyn strategiczny, zakaz eksportowy, kontrola technologii czy nowy sojusz mogą być bowiem przedstawione jako dowód nadciągającego starcia.

Trzecim argumentem jest słabość prawa międzynarodowego. Prawo morza, Karta Narodów Zjednoczonych, arbitraże i normy suwerenności są niezbędne, jednak ich skuteczność zależy od woli państw, zwłaszcza tych najsilniejszych. Gdy mocarstwo uzna, że interes historyczny, bezpieczeństwo narodowe lub „naturalna” strefa wpływów stoją ponad prawem, system często nie dysponuje narzędziem zdolnym natychmiast zatrzymać agresję. Prawo może potępić, izolować czy sankcjonować, ale rzadko zapobiega faktom dokonanym. W Indo-Pacyfiku widać to najwyraźniej na morzu: roszczenia, sztuczne wyspy i militaryzacja spornych obszarów pokazują, że norma bez egzekucji przypomina znak ograniczenia prędkości na drodze, którą jadą czołgi.

Czwartym argumentem jest rola technologii. Rozwój sztucznej inteligencji, systemów autonomicznych, broni hipersonicznej, zdolności cybernetycznych oraz precyzyjnych systemów

rażenia zmienia próg decyzji o ataku. Technologia obiecuje bowiem przewagę i szybkość, a tym samym – niższy koszt polityczny użycia siły.

Koszty wojny kontra strukturalne mechanizmy pokoju

To właśnie jest najniebezpieczniejsze. Im bardziej wojna sprawia wrażenie sterowalnej, tym silniej kusi. Ryzyko rośnie w momencie, gdy przywódcy uwierzą, że można przeprowadzić krótką, ograniczoną i chirurgiczną operację bez ryzyka eskalacji. Historia jest cmentarzem "krótkich wojen", które miały skończyć się szybko, ponieważ planiści pomylili pierwszą fazę operacji z całością konfliktu. Wojna jest jak smok z legend: wielu wchodziło do jaskini z gotowym planem, lecz znacznie mniej wychodziło z niej z kontrolą nad sytuacją.

Kolejnym impulsem do wojny jest polityka wewnętrzna. Konflikty zewnętrzne bywają użyteczne dla elit zmagających się z kryzysem legitymacji; nacjonalizm mobilizuje bowiem szybciej niż reforma administracji. Wróg zewnętrzny porządkuje emocje skuteczniej niż trudna rozmowa o nierównościach, korupcji, demografii czy kryzysie mieszkaniowym. Państwo, które ma problem z własnym społeczeństwem, może próbować odzyskać autorytet poprzez demonstrację siły. Nie musi przy tym dążyć do pełnoskalowego konfliktu – wystarczy incydent, ograniczona eskalacja lub pokaz determinacji. Jednak polityka symboliczna ma tendencję do wymykania się spod kontroli. Tłum, raz nakarmiony opowieścią o zdradzie, upokorzeniu i odwecie, zaczyna domagać się czynów. Przywódca, który chciał posłużyć się gniewem, odkrywa wtedy, że to gniew używa jego.

Na tym tle argumenty za pokojem wydają się mniej widowiskowe, choć wcale nie są słabsze. Pierwszym z nich jest koszt wojny. Konflikt w Indo-Pacyfiku – zwłaszcza taki, który objąłby Chiny, USA, Tajwan, Japonię, Indie lub kluczowe cieśniny – miałby konsekwencje globalne. Nie byłaby to "regionalna" wojna w dawnym rozumieniu tego słowa; uderzyłaby ona w handel, energetykę, żywność, technologie, finanse, ubezpieczenia, migracje, produkcję przemysłową i stabilność polityczną wielu państw. Wojna w centrum światowych przepływów byłaby jak operacja serca przeprowadzona młotkiem. Nawet zwycięzca mógłby odkryć, że wygrał jedynie dostęp do ruin systemu, od którego sam zależał. To silny hamulec – nie gwarantuje on pokoju, ale znacząco podnosi cenę szaleństwa.

Drugim argumentem jest wzajemna zależność. Choć nie eliminuje ona konfliktów, wciąż generuje poważne koszty eskalacji. Chiny potrzebują rynków, energii, technologii i stabilnych szlaków morskich. USA oraz ich sojusznicy są głęboko powiązani z azjatycką produkcją i handlem. Indie dążą do rozwoju i inwestycji, ASEAN żyje z przepływów, a państwa wyspiarskie potrzebują ochrony i turystyki, a nie militaryzacji. Nawet jeśli globalizacja stała się przedmiotem podejrzeń, nie

przestała wiązać interesów. Wojna byłaby więc nie tylko starciem przeciwników, lecz samookaleczeniem uczestników systemu. Problem polega na tym, że państwa czasem wybierają takie rozwiązanie, uznając je za cenę honoru lub przetrwania, jednak świadomość kosztów pozostaje zasobem pokoju.

Trzecim argumentem jest możliwość wielopoziomowej mediacji. Hardy podkreśla, że nadzieja nie leży wyłącznie w wielkich instytucjach czy deklaracjach liderów, lecz w pracy oddolnej: frakcja po frakcji, wyspa po wyspie, naród po narodzie. To kluczowa intuicja. Konflikty systemowe rzadko rozwiązują się jednym wielkim traktatem; częściej wymagają sieci mniejszych uzgodnień: mechanizmów komunikacji wojskowej, umów o rybołówstwie, wspólnego monitorowania środowiska, zasad unikania incydentów, lokalnych komisji granicznych czy korytarzy humanitarnych. Pokój jest strukturą drobnych zabezpieczeń, nie jednym pomnikiem z brązu.

Czwartym argumentem jest doświadczenie państw, które zrezygnowały z armii lub ograniczyły militaryzację na rzecz celów społecznych. Hardy przywołuje przykład Mauritiusa, wskazując na możliwość radykalnego przemyślenia związku między bezpieczeństwem a zbrojeniami. Oczywiście nie można mechanicznie przenieść tego modelu na Chiny, Indie, Japonię czy USA – geografia i skala zagrożeń są tam zupełnie inne. Przykład ten ma jednak wartość prowokacji intelektualnej: czy naprawdę każde państwo potrzebuje coraz większego aparatu militarnego? Czy wydatki wojskowe zawsze zwiększają bezpieczeństwo? A może część tych środków budowałaby większą odporność, gdyby trafiła w obszar zdrowia, edukacji, infrastruktury klimatycznej, cyberbezpieczeństwa cywilnego czy sprawnej administracji?

Realizm pokoju jako systemowa alternatywa dla militaryzacji

Dobry strateg powinien umieć zadać to pytanie, nie obawiając się natychmiastowego zarzutu o naiwność. Czasem bowiem największą naiwnością jest wiara, że każda nowa broń kupuje bezpieczeństwo, a nie tylko bilet do kolejnej rundy wyścigu. Piątym argumentem za pokojem jest zwykła ludzka niechęć do wojny. Brzmi to banalnie, lecz banalne prawdy są często najbardziej lekceważone przez elity.

Większość ludzi chce po prostu żyć: pracować, wychowywać dzieci, podróżować, handlować czy budować domy. Chcą mieć prąd, wodę i odrobinę przewidywalności w codzienności. Wielkie religie, filozofie i tradycje moralne regionu posługują się językiem harmonii, umiaru i ograniczenia przemocy. Mit Shangri-La, przywoływany przez Hardy'ego, nie jest programem politycznym, lecz

wyrazem tęsknoty za wspólnotą, w której słowo „wojna” nie organizuje wyobraźni. Cynik zauważy, że same tęsknoty nie zatrzymają armii. To prawda, ale armie potrzebują społecznej zgody, milczenia lub obojętności. Kultura pokoju sama w sobie nie wystarczy, lecz bez niej polityka pokoju pozostaje pozbawiona korzeni.

Najtrudniejsze pytanie brzmi jednak: jak połączyć realizm z nadzieją? Naiwny pacyfizm zakłada, że wystarczy chcieć pokoju. Brutalny realizm twierdzi, że pokój to jedynie przerwa między wojnami. Oba stanowiska są wygodne i oba są niewystarczające – pierwsze ignoruje przemoc, drugie ją naturalizuje. Potrzebny jest zatem realizm pokoju: uznanie, że państwa mają swoje interesy, armie, lęki i ambicje, ale właśnie dlatego pokój musi być projektowany jako system ograniczeń, zachęt, kanałów komunikacji i wspólnych kosztów eskalacji. Pokój nie jest przeciwieństwem realizmu; jest realizmem, który potrafi liczyć dalej niż do najbliższej przewagi taktycznej.

Realizm pokoju wymaga przede wszystkim kontroli eskalacji. W Indo-Pacyfiku niezbędne są stałe kanały komunikacji między USA a Chinami, Chinami a Indiami, Koreami, Japonią oraz państwami ASEAN. Nie chodzi o kurtuazyjne rozmowy, lecz o mechanizmy działające w samym centrum kryzysu: gorące linie, procedury morskie, zasady przechwyceń lotniczych czy jasne ścieżki deeskalacji. Najgroźniejsza wojna to ta, której nikt nie planował, ale której nikt nie potrafił zatrzymać po pierwszym błędzie. Dyplomacja kryzysowa jest jak hamulec w samochodzie – najbardziej docenia się go wtedy, gdy droga jest śliska.

Drugim elementem realizmu pokoju jest demilitaryzacja symbolicznych punktów zapalnych tam, gdzie jest to możliwe. Nie musi to oznaczać pełnego rozbrojenia, lecz może obejmować zamrożenie nowych instalacji, zakaz określonych typów broni czy neutralne mechanizmy monitoringu. Tajwan, Morze Południowochińskie, Kaszmir i Himalaje wymagają różnych rozwiązań, ale łączy je jedna zasada: trzeba ograniczać sytuacje, w których lokalny dowódca, pilot czy kapitan może nieświadomie podjąć decyzję o znaczeniu globalnym. Świat nie powinien zależeć od refleksu jednego człowieka w złej pogodzie.

Trzecim elementem jest odporność gospodarcza bez histerii blokowej. Dywersyfikacja łańcuchów dostaw i ochrona infrastruktury krytycznej są konieczne, ale jeśli każda zależność zostanie uznana za zdradę, świat osunie się w logikę bloków, co drastycznie zwiększy prawdopodobieństwo wojny. Celem nie powinno być zerwanie wszystkich powiązań, lecz ich uporządkowanie tak, aby żadna strona nie mogła łatwo użyć ich jako broni egzystencjalnej. Globalizacja musi przestać być religią, ale nie powinna zostać zastąpiona kultem autarkii. Autarkia jest jak bunkier: daje poczucie bezpieczeństwa, ale trudno w nim oddychać.

Czwartym elementem jest ochrona prawa międzynarodowego przez koalicje egzekwowania norm. Prawo nie obroni się samo; musi być wspierane przez państwa, organizacje regionalne i presję dyplomatyczną. Nie oznacza to automatycznej militaryzacji każdego sporu, lecz konsekwencję. Jeżeli fakty dokonane są nagradzane milczeniem, będą powtarzane. Jeżeli łamanie prawa spotyka się tylko z rytualnym „zaniepokojeniem", zaniepokojenie staje się walutą bez pokrycia. Prawo międzynarodowe potrzebuje nie teatralnego oburzenia, lecz długiego oddechu instytucjonalnego.

Piątym elementem jest inwestycja w bezpieczeństwo ludzkie: wodę, żywność, zdrowie i edukację. To nie są kwestie „socjalne" oddzielone od strategii, lecz warunki, dzięki którym społeczeństwa nie stają się łatwym materiałem dla radykałów czy państwowych operacji wpływu. Człowiek pozbawiony podstawowego bezpieczeństwa jest podatny na politykę gniewu, a państwo, które to lekceważy, samo produkuje amunicję dla własnej destabilizacji. Najtańsza wojna dla przeciwnika to ta, którą społeczeństwo prowadzi przeciw sobie.

Szóstym elementem jest Błękitna Gospodarka jako filar pokoju. Ocean musi zostać objęty reżimem odpowiedzialności, gdyż bez tego rywalizacja o zasoby i szlaki będzie narastać. Wspólna ochrona morza może być jedną z niewielu dziedzin, w której państwa rywalizujące strategicznie nadal mają obiektywny interes współpracy. Nawet przeciwnicy potrzebują żywego oceanu; nawet hegemon nie handluje dobrze po martwym morzu, a autokrata nie nakarmi populacji samą mapą roszczeń.

Pokój jako sztuka zapobiegania katastrofie

Błękitna Gospodarka jest więc nie tylko projektem ekologicznym, lecz instrumentem deeskalacji poprzez wspólny interes przetrwania. Czy to wystarczy? Nie ma gwarancji i należy to powiedzieć uczciwie. Historia nie jest sądem sprawiedliwie nagradzającym rozsądnych. Czasem rozsądni przegrywają z hałaśliwymi, cierpliwi z brutalnymi, kompetentni z fanatykami, a instytucje z nastrojem ulicy. Indo-Pacyfik posiada wszystkie warunki zarówno dla wielkiej współpracy, jak i wielkiej katastrofy. Jego potencjał gospodarczy, demograficzny i kulturowy jest ogromny, lecz ryzyka są równie wielkie.

Ostateczny wynik nie jest zapisany w geografii, lecz w decyzjach, które dopiero zostaną podjęte – lub zaniechane. Zaniechanie również jest decyzją, choć mniej elegancko prezentuje się w autobiografiach przywódców. Końcowa wizja „Złotej Ery" Hardy'ego może brzmieć utopijnie, jeśli czytać ją dosłownie, lecz jej sens nie polega na obietnicy raju. Polega na przypomnieniu, że polityka bez wyobraźni pokoju staje się administracją strachu. Utopia bywa niebezpieczna, gdy próbuje narzucić światu doskonałość przemocą; brak jakiejkolwiek utopii jest równie ryzykowny, gdyż wtedy jedyną przyszłością staje się kontynuacja obecnych lęków. Potrzebujemy nie utopii jako

planu totalnego, lecz utopii jako kierunku moralnego: przekonania, że wojna nie jest naturalnym klimatem ludzkości, lecz porażką instytucji, języka i wyobraźni.

Ostateczna odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?" musi pozostać napięta. Wojna jest możliwa, ponieważ system produkuje ryzyka szybciej niż zaufanie. Pokój jest możliwy, ponieważ koszt wojny jest tak wielki, a zasoby współpracy nadal tak realne, że katastrofa nie musi być przeznaczeniem. Indo-Pacyfik stoi na krawędzi, ale krawędź nie jest jeszcze przepaścią – jest ostrzeżeniem. Problem polega na tym, że ostrzeżenia działają tylko na tych, którzy nie uznali własnej nieomylności za doktrynę państwową. Najważniejszy bon mot tej analizy mógłby brzmieć: pokój nie jest ciszą po zwycięstwie, lecz sztuką niedopuszczenia do bitwy, którą wszyscy później nazwaliby błędem.

Indo-Pacyfik potrzebuje właśnie takiego pokoju: nie sentymentalnego, bezbronnego czy ślepego na agresję, ale inteligentnego, instytucjonalnego, odpornego i zdolnego do samoograniczenia. Pokój musi mieć flotę tam, gdzie odstraszanie jest konieczne, lecz także mediatorów tam, gdzie prestiż blokuje kompromis. Musi opierać się na prawie morza, ale i na inspekcjach oraz egzekucji. Musi dysponować technologiami, lecz także opóźnieniami decyzyjnymi chroniącymi przed automatyzacją katastrofy. Musi mieć gospodarkę, ale nie gospodarkę rabunku. Musi posługiwać się językiem godności, który nie zamienia każdej różnicy w wojnę świętą.

Janus nadal stoi u bram. Jedna twarz patrzy na militaryzację, nacjonalizmy, cieśniny, granice, broń nuklearną, sztuczne wyspy, cyberataki, lęk mocarstw i rosnący hałas dobosza wojny. Druga patrzy na handel, współzależność, mediację, prawo, ochronę oceanów, kulturę pokoju, społeczeństwa pragnące stabilności i możliwość nowej odpowiedzialności.

Janus nie wybierze za nas; jest tylko strażnikiem progu. To ludzie, państwa i instytucje zdecydują, czy przejdą przez bramę z bronią gotową do strzału, czy z trudniejszą odwagą powstrzymania ręki. Mądrość Indo-Pacyfiku mieści się w prostym obrazie Hardy'ego: szum fal albo bicie w bębny wojny. Fale nie krzyczą. Nie przemawiają w parlamentach, nie mają rzeczników prasowych ani kont w mediach społecznościowych. Trwają, cofają się i wracają, przypominając, że świat jest większy od ambicji każdego mocarstwa. Bębny wojny są głośniejsze, ale ich rytm kończy się zwykle tym samym: ciszą ruin. Jeżeli ludzkość ma dorosnąć do własnej siły, musi nauczyć się słyszeć cichszy dźwięk. Nie dlatego, że jest piękniejszy, lecz dlatego, że jest jedynym, przy którym można dalej żyć.

Tajwan jako strategiczna brama i test mocarstw

Tajwan jako brama Janusa. Polityka Chin i Stanów Zjednoczonych wobec wyspy między zjednoczeniem, odstraszaniem a sztuką niedopuszczenia do wojny

Tajwan jest najmniejszym wielkim problemem świata. Na mapie jawi się jako wyspa położona między kontynentalnymi Chinami, Japonią i Filipinami, oddzielona od wybrzeża Fujianu cieśniną, którą można zmierzyć w kilometrach, lecz której politycznego ciężaru nie sposób ująć w kategoriach zwykłej geografii. W logice Dennisa Hardy'ego Tajwan nie jest tylko terytorium.

Jest bramą Janusa: jedną twarzą zwrócony ku pokojowi, handlowi, półprzewodnikom, demokracji i status quo; drugą ku wojnie, rewizji granic, zderzeniu mocarstw i testowi całej architektury Indo-Pacyfiku. Kto pyta o Tajwan, pyta w istocie, czy XXI wiek będzie epoką negocjowanego współistnienia potęg, czy erą faktów dokonanych wymuszanych siłą. Polityka Chin wobec wyspy zaczyna się od tezy ontologicznej: Tajwan nie jest dla Pekinu "sprawą międzynarodową", lecz wewnętrzną – niedokończonym rozdziałem wojny domowej, raną w ciele państwa i symbolem narodowego odrodzenia. Chińska narracja brzmi jak parafraza wielkiej maksymy suwerenności: "jest jedno państwo chińskie, a Tajwan jest jego częścią; historia może się opóźniać, ale nie może zmienić kierunku". W tej opowieści zjednoczenie nie jest jedną z opcji politycznych, lecz historyczną koniecznością. Xi Jinping wielokrotnie ujmował tę myśl w formule, którą można sparafrazować tak: "odrodzenie narodu chińskiego nie będzie pełne, dopóki wyspa nie wróci do macierzy". W tym zdaniu geografia staje się eschatologią państwową.

Terytorium przestaje być tu zwykłą przestrzenią; staje się warunkiem spełnienia historii. Pekin nie traktuje Tajwanu jak typowego sporu granicznego, który można zamrozić, poddać arbitrażowi, skompensować lub uczynić przedmiotem dwustronnego kompromisu. W chińskiej doktrynie Tajwan jest czymś głębszym: testem integralności państwa, legitymacji Komunistycznej Partii Chin i odporności na zachodnie powstrzymywanie. W języku dyplomacji Pekinu dominuje figura "czerwonej linii". W aparacie pojęciowym Hardy'ego należałoby powiedzieć: Tajwan jest uskokiem, którego Pekin nie pozwala traktować jak lokalnej rysy, gdyż widzi w nim pęknięcie całego projektu narodowej jedności. "Nie przekraczajcie tej linii" – mówi Pekin do Waszyngtonu – "bo za nią nie zaczyna się dyplomatyczna różnica zdań, lecz naruszenie rdzenia państwa".

Chińska polityka ma jednak konstrukcję podwójną. Z jednej strony deklaruje preferencję dla pokojowego zjednoczenia, najczęściej w formule "jedno państwo, dwa systemy". W tej wersji Pekin występuje jako cierpliwy kustosz historycznej całości: wyspa ma wrócić, lecz może zachować odrębność stylu życia, pewne instytucje i właściwości gospodarcze. Jest to miękka twarz Janusa: obietnica, że zjednoczenie nie musi oznaczać natychmiastowego unicestwienia lokalnej specyfiki. Z drugiej strony Chiny konsekwentnie odmawiają wyrzeczenia się użycia siły. Ich logika jest prosta: "pokój jest możliwy, jeśli separatyzm i obce siły nie uczynią go niemożliwym". W tej formule mieści się zarówno oferta, jak i groźba. Pokój jawi się jako nagroda za uznanie chińskiej ramy; przemoc – jako konsekwencja jej odrzucenia.

Tu tkwi zasadniczy problem. Pekin mówi o "pokojowym zjednoczeniu", ale dla większości społeczeństwa Tajwanu samo słowo "zjednoczenie" nie brzmi jak pokój, lecz jak utrata podmiotowości. Po doświadczeniach Hongkongu formuła "jedno państwo, dwa systemy" straciła na wyspie resztki dawnej atrakcyjności. Dla Pekinu Hongkong może być dowodem przywróconej suwerenności; dla Tajpej jest ostrzeżeniem, że obietnice autonomii zostaną zredukowane, gdy centrum uzna je za przeszkodę. Tu działa okrutna zasada politycznej wiarygodności: nie wystarczy obiecywać – trzeba mieć historię dotrzymywania obietnic. A w oczach Tajwanu historia ta wygląda źle.

Chińskie stanowisko jest więc mieszanką legalizmu, pamięci historycznej, nacjonalizmu i geostrategii. Legalizm mówi: istnieje jedna zasada "jednych Chin". Historia przypomina: Tajwan został oderwany od chińskiej całości przez epokę upokorzeń i wojnę domową. Nacjonalizm dodaje: naród nie może pozostać niepełny. Geostrategia zaś wskazuje: dopóki Tajwan pozostaje poza kontrolą Pekinu i w orbicie amerykańskiej, Chiny są zamknięte w pierwszym łańcuchu wysp, a ich wyjście na Pacyfik jest ograniczone.

To ostatnie ogniwo jest kluczowe. Tajwan nie jest tylko symbolem; jest zamkiem morskim. Kto kontroluje wyspę, zmienia geometrię bezpieczeństwa całego zachodniego Pacyfiku. W ujęciu Heartland-Rimland Tajwan jest punktem, w którym potęga kontynentalna próbuje przerwać morską obręcz. Chiny jako nowoczesny Heartland potrzebują morza: energii, eksportu, portów, szlaków i projekcji siły. Jednak amerykański system sojuszy – Japonia, Filipiny, Australia, Guam i Tajwan – tworzy pas ograniczający swobodę chińskiej marynarki. Dla Pekinu Tajwan jest więc nie tylko "zbuntowaną prowincją", ale strategiczną bramą. Dopóki ta brama pozostaje poza jego kontrolą, chińska potęga morska oddycha przez wąską rurkę. Nic dziwnego, że Pekin patrzy na wyspę nie tylko oczami historyka, lecz także admirała.

Stanowisko Stanów Zjednoczonych jest bardziej skomplikowane, bo celowo skomplikowane.

Strategiczna dwuznaczność jako balans między dwiema katastrofami

Stany Zjednoczone utrzymują politykę "jednych Chin", lecz nie przyjmują chińskiego żądania, by oznaczało to pełną akceptację suwerenności Pekinu nad Tajwanem. Waszyngton uznaje rząd Chińskiej Republiki Ludowej za jedyny legalny rząd Chin, a jednocześnie prowadzi nieoficjalne relacje z Tajwanem, sprzedaje mu broń defensywną i deklaruje dążenie do pokojowego rozstrzygnięcia przyszłości wyspy.

To dyplomatyczna akrobatyka, ale nie kaprys. To architektura strategicznej dwuznaczności: wystarczająco jasna, by odstraszać przymus, i na tyle niejednoznaczna, by nie zachęcać Tajwanu do formalnego ogłoszenia niepodległości. Amerykańska maksyma w tej kwestii mogłaby brzmieć: "nie wspieramy formalnej niepodległości, nie akceptujemy przymusowego zjednoczenia, bronimy status quo, bo status quo jest ostatnim mostem nad przepaścią". W tym sformułowaniu mieści się cała sprzeczność polityki USA. Waszyngton nie chce wojny z Chinami o deklarację tajwańskiej państwowości, ale nie akceptuje świata, w którym mocarstwo autorytarne może siłą zmienić losy demokratycznej wyspy. Nie uznaje Tajwanu za państwo w pełnym sensie dyplomatycznym, lecz chce, by wyspa posiadała zdolność obrony przed krajem, który uważa ją za swoją część. Unika prowokowania Pekinu, wiedząc jednocześnie, że nadmierna ostrożność może zostać odczytana jako zaproszenie do agresji. Nie jest to polityka czystych zasad, lecz równoważenie dwóch potencjalnych katastrof.

Instytucjonalnym rdzeniem tej konstrukcji jest Taiwan Relations Act. Jego sens można sparafrazować tak: przyszłość Tajwanu powinna zostać określona pokojowo, a każda próba wymuszenia jej siłą, bojkotem czy embargiem będzie sprawą poważnej troski Stanów Zjednoczonych; Ameryka będzie dostarczać Tajwanowi środki obronne i utrzymywać zdolność przeciwstawienia się przymusowi. Nie jest to klasyczny traktat obronny, lecz raczej zobowiązanie do utrzymywania niepewności w umyśle agresora. Waszyngton rzadko mówi wprost: "będziemy walczyć". Mówi raczej: "nie zakładajcie, że nie będziemy". W odstraszaniu to właśnie ta luka bywa kluczowa.

Strategiczna dwuznaczność działa jednak tylko wtedy, gdy wszystkie strony wierzą w jej dyscyplinę. Pekin musi być przekonany, że użycie siły może wywołać amerykańską reakcję. Tajpej z kolei musi wierzyć, że USA go nie porzucą, ale nie może ulec złudzeniu, iż posiada blankiet na formalną niepodległość. Waszyngton musi zatem powstrzymywać Chiny, lecz jednocześnie tonować najbardziej ryzykowne impulsy po stronie tajwańskiej.

To polityka chodzenia po linie nad kanionem, z orkiestrą wojskową grającą po obu stronach. Jeden fałszywy krok i wszyscy odkrywają, że semantyka miała wymiar artyleryjski. Amerykańscy przywódcy często definiują własną linię w ten sposób: "nie popieramy niepodległości Tajwanu, ale sprzeciwiamy się jednostronnej zmianie status quo". To zdanie stanowi fundament amerykańskiej pozycji. Dla Pekinu bywa ono niewystarczające, gdyż Chiny domagają się uznania nie tylko polityki "jednych Chin", lecz chińskiej zasady "jednych Chin" w jej pełnej, suwerennościowej interpretacji. Dla Tajpej brzmi niepokojąco, wyznaczając granicę amerykańskiego wsparcia. Dla sojuszników USA jest testem wiarygodności, a dla reszty świata sygnałem, czy Ameryka nadal potrafi bronić

porządku, który sama współtworzyła. W polityce Donalda Trumpa – przy całej zmienności jego stylu – element ten zyskał dodatkowy wymiar transakcyjności.

Tajwan jako punkt krytyczny sprzecznych interpretacji

Tajwan jawi się nie tylko jako demokracja wymagająca wsparcia, lecz także jako karta przetargowa w negocjacjach z Chinami, odbiorca uzbrojenia, partner technologiczny i element szerszej gry handlowej. Nie musi to oznaczać porzucenia wyspy, jednak taka perspektywa potęguje nerwowość. Tajpej nie obawia się wyłącznie chińskiej presji; lęka się również, że w dialogu wielkich mocarstw jego los zostanie sprowadzony do elementu pakietu. Stara maksyma małych i średnich państw brzmi: "jeśli nie siedzisz przy stole, możesz znaleźć się w menu". Tajwan, choć gospodarczo i technologicznie potężny, w wymiarze dyplomatycznym zna ten lęk bardzo dobrze. Chiny z kolei postrzegają amerykańską obecność wokół wyspy jako strategię powstrzymywania. Ich interpretacja stanowiska USA brzmi w Pekinie mniej więcej tak: "Waszyngton mówi o pokoju, ale zbroi wyspę; mówi o status quo, ale wzmacnia separatyzm; mówi o stabilności, ale używa Tajwanu jako pionka przeciwko chińskiemu odrodzeniu".

Ta percepcja jest kluczowa, nawet jeśli nie uznamy jej za obiektywnie prawdziwą. W polityce międzynarodowej liczy się nie tylko to, co państwo robi, lecz także jak jego działania są interpretowane przez rywala. Amerykańska broń defensywna dla Tajwanu może być w Waszyngtonie traktowana jako narzędzie odstraszania; w Pekinie jest często przedstawiana jako dowód wrogiej ingerencji. Jedna rakieta ma dwa znaczenia.

Właśnie dlatego region ten jest tak niebezpieczny. Tajwan nie jest jednak biernym przedmiotem cudzej gry – to częsty błąd analiz pisanych z perspektywy mocarstw. Wyspa posiada własne społeczeństwo, wybory, partie i tożsamość; ma armię, gospodarkę, technologie oraz własne lęki i strategie przetrwania. Rządzący w Tajpej podkreślają, że Tajwan nie prowokuje Chin samym faktem swojego istnienia, że prawo do obrony jest niezbywalne, a o przyszłości wyspy powinni decydować jej mieszkańcy. Stanowisko tajwańskie brzmi: "nie jesteśmy czyjąś kartą, lecz wspólnotą polityczną; nie żądamy wojny, lecz prawa do życia bez przymusu". Dla Pekinu jest to język separatyzmu. Dla Waszyngtonu – język demokracji, tyle że takiej, którą trzeba prowadzić ostrożnie, by nie stała się zapalnikiem wojny.

Tu pojawia się najważniejsza sprzeczność: status quo jest jednocześnie najlepszym rozwiązaniem i rozwiązaniem wewnętrznie niestabilnym. Dla USA status quo oznacza brak jednostronnej zmiany przez którąkolwiek ze stron. Dla Tajwanu to faktyczna samorządność bez pełnego uznania międzynarodowego. Dla Chin status quo jest stanem tymczasowej separacji, który nie może trwać

wiecznie. Każdy wypowiada to samo słowo, ale każde państwo podkłada pod nie inny zegar. Amerykanie chcieliby zamrozić czas. Tajwańczycy chcieliby żyć w czasie własnych instytucji. Chińczycy chcą, by czas pracował na zjednoczenie. A historia, jak zwykle złośliwa, odmawia podpisania harmonogramu.

Tajwan jako krytyczny punkt zapalny i test dla realizmu pokoju

W aparacie Hardy'ego Tajwan jawi się jako "wyspą-uskokiem". Posiada wszystkie cechy klasycznego punktu zapalnego Indo-Pacyfiku: strategiczne położenie na krawędzi Rimlandu, kluczowe znaczenie dla wolności żeglugi, bliskość mocarstwa kontynentalnego oraz ścisłe powiązanie z amerykańską wiarygodnością. Do tego dochodzi ciężar pamięci historycznej, spór o język suwerenności, militaryzacja cieśniny, presja technologiczna i symboliczna rola demokracji. To mała płytka tektoniczna między trzema kontynentami interesów – jeśli się przesunie, zatrzęsie się cały region.

Najbardziej niebezpieczne są trzy scenariusze. Pierwszy to formalna deklaracja niepodległości Tajwanu lub działanie odczytane przez Pekin jako jej ekwiwalent. Chiny uznałyby to za przekroczenie czerwonej linii, a USA znalazłyby się w rozdarciu między lojalnością wobec demokratycznego partnera a obawą przed wojną z mocarstwem nuklearnym. Drugi scenariusz zakłada chińską próbę wymuszenia zjednoczenia poprzez blokadę, kwarantannę morską, cyberataki, zajęcie wysp przybrzeżnych lub pełnoskalową inwazję. Taka próba zweryfikowałaby realność amerykańskiego odstraszania i odporność sojuszy. Trzeci to przypadkowa eskalacja: kolizja w powietrzu lub na morzu, zestrzelenie maszyny, błędna interpretacja ćwiczeń, cyberatak przypisany niewłaściwemu aktorowi czy niefortunna decyzja lokalnego dowódcy. Historia zna wiele wojen, których nikt nie planował jako wielkich, dopóki nie stały się takie.

Pekin dysponuje przewagą bliskości, masy i determinacji politycznej. Waszyngton opiera się na sieci sojuszy, technologii, doświadczeniu w globalnej projekcji siły i zdolności mobilizacji koalicji. Tajwan z kolei ma po swojej stronie geografię obronną, społeczeństwo zdeterminowane do ochrony własnego ustroju oraz znaczenie technologiczne, zwłaszcza w sektorze półprzewodników. Jednak każda przewaga rzuca cień. Bliskość Chin oznacza przewidywalność kierunku presji, ale sieć USA uzależnia stabilność od politycznej wiarygodności Waszyngtonu. Z kolei znaczenie technologiczne sprawia, że wyspa staje się cenniejsza, a przez to bardziej zagrożona. W geopolityce wartość bywa błogosławieństwem i przekleństwem jednocześnie.

Czy Chiny chcą wojny o Tajwan? Najuczciwsza odpowiedź brzmi: wolą zwycięstwo bez walki, lecz przygotowują się do użycia siły, jeśli uznają, że pokojowa ścieżka zamiera lub separatyzm przekracza próg nieodwracalności. Wojna byłaby dla Pekinu ryzykowna – mogłaby zrujnować gospodarkę, sprowokować sankcje, wciągnąć do konfliktu USA i Japonię oraz zniszczyć infrastrukturę, którą Chiny chcą przejąć. Porażka podważyłaby legitymację partii. Jednak rezygnacja z Tajwanu byłaby dla niej ideologicznie niewyobrażalna. Pekin jest więc więźniem własnej wielkiej narracji, a wielkie narracje mają tę wadę, że trudno im zejść po cichu ze sceny.

Czy USA chcą wojny? Nie. Chcą odstraszyć Chiny, utrzymać status quo i nie dopuścić do zmiany porządku przez przymus. Jednak ich polityka również generuje ryzyko. Zbyt słabe wsparcie może zachęcić Pekin do testowania granic; zbyt demonstracyjne – zostać odczytane jako popychanie Tajwanu ku formalnej niezależności. Podejście czysto transakcyjne osłabi zaufanie sojuszników, a nadmierny moralizm ograniczy pole manewru dyplomatycznego. Waszyngton musi zatem wykonać zadanie karkołomne: odstraszać bez upokarzania, wspierać bez prowokowania i negocjować bez sprzedawania, zachowując przy tym użyteczną dwuznaczność. To dyplomacja wymagająca precyzji chirurga i cierpliwości mnicha – cech, których polityka demokratyczna rzadko dostarcza w nadmiarze.

Paradoksalne jest to, że obie strony mówią o pokoju, choć rozumieją go inaczej. Pekin twierdzi, że pokój jest możliwy, jeśli uznane zostanie jedność Chin i zaprzestanie wspierania separatyzmu. Waszyngton uważa, że pokój zależy od tego, czy nikt nie zmieni status quo siłą. Oba stanowiska brzmią rozsądnie tylko wewnątrz własnych systemów pojęciowych. W chińskim słowniku źródłem wojny jest separatyzm i ingerencja zewnętrzna; w amerykańskim – przymus i jednostronna zmiana stanu rzeczy; w tajwańskim – odmowa uznania podmiotowości mieszkańców wyspy.

Trzy języki pokoju opisują trzy różne lęki. A kiedy nie zgadzają się one co do definicji agresji, pokój zaczyna przypominać negocjacje prowadzone przez tłumaczy, którzy po cichu pracują dla artylerii. Hardy zapewne zauważyłby, że Tajwan jest miejscem, gdzie "szum fal" i "dobosz wojny" brzmią jednocześnie najgłośniej. Szum fal to codzienność: produkcja chipów, handel, wybory, uniwersytety, porty, kultura i zwykłe pragnienie normalności. Dobosz wojny to ćwiczenia wojskowe, naruszenia stref identyfikacji, cyberataki, pakiety zbrojeniowe i mapy inwazji. Problem polega na tym, że dobosz ma lepsze nagłośnienie. Szum fal trzeba umieć usłyszeć.

Realizm pokoju jako jedyna alternatywa dla katastrofy

Co zatem oznacza polityka odpowiedzialna? Po pierwsze, utrzymanie status quo musi być traktowane nie jako bierne trwanie, lecz jako aktywna konstrukcja. Wymaga ona otwartych

kanałów komunikacji na liniach USA-Chiny, Chiny-Tajwan i USA-Tajwan oraz stałych konsultacji z Japonią, Filipinami i innymi aktorami regionu. Po drugie, Tajwan musi wzmacniać zdolności obronne w sposób asymetryczny: nie po to, by wygrać klasyczną wojnę z Chinami, lecz by uczynić agresję zbyt kosztowną, niepewną i długotrwałą. Po trzecie, USA powinny wspierać Tajwan, nie zamieniając go w rekwizyt wewnętrznej polityki antychińskiej. Po czwarte, Chiny muszą zrozumieć, że im więcej przymusu stosują, tym bardziej niszczą atrakcyjność własnej propozycji zjednoczenia. Nie można zdobyć serc, trzymając nad nimi wyrzutnię rakiet.

Najbardziej gorzki bon mot tej sytuacji brzmi: Pekin chce, by Tajwan wrócił do domu, ale zbyt często mówi do niego głosem komornika, nie krewnego. Waszyngton pragnie chronić Tajwan przed tym komornikiem, lecz czasem brzmi tak, jakby zastanawiał się, ile warta jest polisa. Tajwan zaś próbuje udowodnić, że nie jest ani dłużnikiem historii, ani przedmiotem ubezpieczenia, lecz podmiotową wspólnotą polityczną. W tym trójkącie każdy boi się zdrady: Chiny – jedności, USA – wiarygodności, a Tajwan – własnej wolności. Wyspa ta obnaża również granice tradycyjnej suwerenności. Dla Chin jest ona niepodzielna: wyspa należy do chińskiej całości. Dla Tajwanu suwerenność to praktyka demokratyczna: istnienie wspólnoty, która sama się rządzi. Dla USA kwestia ta pozostaje niedopowiedziana; pełne uznanie mogłoby wywołać wojnę, lecz całkowite zanegowanie byłoby zgodą na przymus. Tajwan żyje zatem w przestrzeni między prawem a faktem, między uznaniem a nieuznaniem, między państwowością praktyczną a dyplomatycznym niedopowiedzeniem.

Jest to położenie niewygodne, lecz przez dekady skuteczne. Pytanie brzmi, czy ta skuteczność przetrwa epokę mocarstw domagających się definitywnych odpowiedzi. W aparacie Hardy'ego ostateczne pytanie nie dotyczy tego, kto ma rację w sporze o Tajwan, lecz czy spór ten zostanie przeprowadzony tak, aby nie zniszczyć świata, który miałby tę rację później uznać. Chiny mają swoją historię cierpienia, upokorzenia i rozbicia. Tajwan – historię samorządności, demokratyzacji i odrębnego doświadczenia politycznego. USA niosą bagaż gwaranta ładu morskiego, ale także historię hipokryzji i interwencji. Każda strona dysponuje argumentami, które nie są fikcją. Problem polega na tym, że prawdziwe racje mogą prowadzić do katastrofy, jeśli zostaną zamienione w absoluty.

Tajwan jest najczystszym testem „realizmu pokoju". Naiwny idealizm podpowiada: uznajmy po prostu prawo Tajwańczyków do samostanowienia i nie oglądajmy się na Pekin. Brutalny realizm twierdzi: wyspa leży przy Chinach, więc musi uznać geograficzną konieczność. Oba stanowiska są niebezpiecznie niepełne. Pierwsze może nie doceniać ryzyka wojny nuklearnej i systemowej; drugie poświęca demokratyczną wspólnotę na ołtarzu mapy.

Realizm pokoju musi sformułować trudniejszą tezę: Tajwan ma prawo nie być zmuszany do podporządkowania, Chiny mają realny interes w bezpieczeństwie i prestiżu, USA chcą powstrzymać przymusową zmianę porządku, a światu zależy, by żadna z tych prawd nie została wyegzekwowana w sposób prowadzący do katastrofy. Wniosek jest ostrożny, lecz nie miękki. Polityka Chin wobec Tajwanu to polityka zjednoczenia, w której pokój pozostaje preferowaną metodą, a siła – zastrzeżoną możliwością. Strategia USA to polityka status quo, gdzie uznanie Pekinu za rząd Chin współistnieje ze wsparciem dla Tajwanu i sprzeciwem wobec przymusu. Obie koncepcje są stabilne tylko dopóki żadna ze stron nie uzna, że czas działa przeciw niej w sposób nieodwracalny. Największe ryzyko pojawi się, gdy Pekin uzna pokojowe zjednoczenie za niemożliwe, Waszyngton poczuje, że utrata wyspy niszczy jego wiarygodność, a Tajpej stwierdzi, że dalsze niedopowiedzenie odbiera mu przyszłość. Trzy poczucia końca czasu mogą stać się początkiem wojny.

Tajwan nie jest więc wyspą, lecz pytaniem. Czy potęga kontynentalna potrafi zaakceptować polityczną odrębność u własnych bram? Czy hegemon morski zdoła bronić ładu bez przekształcania partnera w kartę przetargową? Czy demokratyczna wyspa wzmocni swoją podmiotowość, nie dając przeciwnikowi pretekstu do katastrofy? I czy społeczność międzynarodowa usłyszy szum fal, zanim bębny wojny staną się jedynym rytmem polityki?

Janus stoi nad Cieśniną Tajwańską. Jedna jego twarz patrzy na porty, chipy i codzienność ludzi, którzy chcą żyć bez heroicznych nekrologów. Druga widzi czerwone linie, rakiety i przemówienia o historycznej konieczności. Nie ma gwarancji, którą z nich zobaczymy jutro. Pewne jest jednak to, że kto uważa Tajwan za drobną wyspę, nie rozumie mapy. To nie są peryferia świata. To zawias drzwi, przez które może wejść albo nowa dyscyplina pokoju, albo wojna, którą wszyscy później będą wypierać jako „niezamierzoną”.

> W ostatecznym rozrachunku Indo-Pacyfik staje przed wyborem między głośnym rytmem bębnów wojny a cichym szumem fal. Czy ludzkość zdoła dorosnąć do własnej siły i usłyszeć ten drugi dźwięk, zanim duma mocarstw zamieni ocean w cmentarzysko ambicji? To nie jest pytanie o strategię, lecz o to, czy potrafimy przestać traktować świat jak magazyn surowców, a zacząć widzieć w nim dom, którego nie wolno spalić dla chwilowej przewagi.

Inspiracje

[1] 

"War or Peace The Indo-Pacific on the Cusp" Dennis Hardy

Routledge | ISBN: 9781041315179

Dennis Hardy jest emerytowanym profesorem i niezależnym badaczem z wykształceniem akademickim w dziedzinie geografii i urbanistyki. Większość swojej kariery spędził na Uniwersytecie Middlesex w Londynie. Jego praca naukowa obejmowała różnorodne tematy, takie jak utopizm, historia społeczna i urbanistyka. Ostatnio jego zainteresowania badawcze przesunęły się w kierunku geopolityki, ze szczególnym uwzględnieniem Oceanu Indyjskiego i regionu Indo-Pacyfiku. Jest członkiem-założycielem Instytutu Badań nad Pokojem i Dyplomacją im. Jamesa R. Manchama na Uniwersytecie Seszeli i redaktorem naczelnym czasopisma „Seychelles Research Journal". Hardy jest autorem licznych książek na temat rozwoju miast i geopolityki regionalnej, które przyczyniają się do zrozumienia złożonych stosunków międzynarodowych i historycznych eksperymentów społecznych.

Dennis Hardy *is an Emeritus Professor and an independent researcher with an academic background in geography and urban planning. He spent the majority of his career at Middlesex University in London. His scholarly work has spanned diverse subjects, including utopianism, social history, and town planning. More recently, his research interests have shifted toward geopolitics, with a specific focus on the Indian Ocean and the Indo-Pacific region. He is a founding member of the James R. Mancham Peace and Diplomacy Research Institute at the University of Seychelles and serves as the editor of the Seychelles Research Journal. Hardy has authored numerous books on urban development and regional geopolitics, contributing to the understanding of complex international relations and historical community experiments.*

University of Seychelles

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[1] **"Xi Jinping The Governance of China Vol IV"**
Xi Jinping

[2] **"Xi Jinping The Governance of China Vol V"**

Xi Jinping

[3] **"Xi Jinping The Governance of China Vol II"**

Xi Jinping

[4] **"Sea Power Admiral James Stavridis"**

[5] **"Strategy of Denial"**

Elbridge A Colby

[6] **"EU-MERCOSUR Interregionalism"**

Mario Torres Jarrin

[7] **"Global Discord Paul Tucker"**

[8] **"The End of the World Is Just the Beginning Mapping the Collapse of Globalization The Collapse of Globalization and Its Aftermath Peter Zeihan"**

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] **"Te Reitaki n Nonouti:A survival of traditional authority in the Gilbert Islands"**

Barrie Macdonald

1972 | The Journal of Pacific History | DOI: 10.1080/00223347208572205

Google Scholar

[2] **"Executive Order 13944: Combating Public Health Emergencies and Strengthening National Security by Ensuring Essential Medicines, Medical Countermeasures, and Critical Inputs Are Made in the United States"**

Donald J. Trump

2020

Google Scholar

Artykuły pokrewne (Google Scholar):

[3] "Historical geography and heritage studies"

Dennis Hardy

1988

Google Scholar

[4] "From Garden Cities to New Towns"

Dennis Hardy

2003 | DOI: 10.4324/9780203451267

Google Scholar

[5] "Goodnight Campers!: The history of the British holiday camp"

Colin Ward, Dennis Hardy

1998 | Medical Entomology and Zoology

Google Scholar

[6] "Utopian thought and communal experience"

Dennis Hardy, Lorna Davidson

1989 | OpenGrey (Institut de l'Information Scientifique et Technique)

Google Scholar

[7] "Environmental policies for cities in the 1990s"

Dennis Hardy

1991 | Cities | DOI: 10.1016/0264-2751(91)90050-2

Google Scholar

[8] "From new towns to green politics : campaigning for town and country planning, 1946-1990"

Dennis Hardy

1991

Google Scholar

[9] "Sociocultural dimensions of tourism history"

Dennis Hardy

1990 | Annals of Tourism Research | DOI: 10.1016/0160-7383(90)90026-n

Google Scholar

[10] "Utopian ideas and the planning of London"

Dennis Hardy

2005 | Planning Perspectives | DOI: 10.1080/0266543042000300528

Google Scholar

[11] "Reviving the city: Towards sustainable development"

Dennis Hardy

1991 | Cities | DOI: 10.1016/0264-2751(91)90051-r

Google Scholar

[12] "Garden Cities: Practical Concept, Elusive Reality"

Dennis Hardy

2005 | Journal of Planning History | DOI: 10.1177/1538513205281614

Google Scholar

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 0c4799be-4a43-4247-ab8e-e3504ef624bc